rok II. nr. 1.

nasz wyraz

dawniej

gazetka

miesięcznik literacki młodych

kraków XI. 1935.

25 gr

numer poświęcony częściowo sprawom szkół średnich.

nasz wyraz

MIESIĘCZNIK LITERACKI MŁODYCH.

ROK II. LISTOPAD 1935. NR. 1.

Wydajemy „Nasz Wyraz".

Po rocznej, nie z naszej winy wynikłej, przerwie kontynuujemy wydawanie swojego pisma. Cele zasadniczo zostają niezmienione: danie obrazu przeżyć psychicznych i poglądów na życie młodzieży. Ponieważ jednak jesteśmy już dwa lata starsi i u większości nastąpiło skonkretyzowanie przekonań w kierunku literatury i ponieważ literatura będąc, między innemi, wytłumaczeniem i uporządkowaniem życia, daje bardziej konkretne pole do rozważań, będziemy wydawali pismo jako literackie. Na naszą w tym kierunku decyzję wpłynął także fakt, że w Krakowie, w okresie Młodej Polski stolicy literackiej i kulturalnej kraju nie wychodzi obecnie żadne pismo literackie. W związku z tem czuliśmy się także zmuszeni zmienić, jakkolwiek niechętnie, tytuł. Dla zaznaczenia jednak ciągłości wydawnictwa numer pierwszy poświecamy częściowo sprawom szkoły średniej.

Pismo jest apolityczne i apartyjne. Nie będziemy jednak krępowali swobody wypowiedzenia się tych członków redakcji czy korespondentów, którzy mają już skonkretyzowane poglądy społeczne, naturalnie w ramach rzeczowego, a nie emocjonalnego ustosunkowania się do przedmiotu. W każdym razie będą oni pisali tylko w swojem imieniu, a redakcja będzie zamieszczała artykuły o każdem nastawieniu, byle tylko stały na odpowiednim poziomie literackim, który będzie dla nas jedynym sprawdzianem ich wartości.

Zdajemy sobie sprawę, że, nawet po pozyskaniu kilku nowych, a cennych współpracowników, wydawanie pisma literackiego jest z naszej strony do pewnego stopnia zuchwalstwem. Ośmiela nas fakt, że wiele pism tak zaczynało. Usterki w pierwszych numerach zechcą nam Czytelnicy wybaczyć, a uwagi swoje przesłać redakcji.

J. Jurkiewicz.

JÓZEF SZCZĘSNY.

WYWIAD Z PREZESEM.

Wedle mody ostatnich wywiadów, które czytałem powinno się to zacząć w sposób następujący:

Pan prezes poruszył się nieco na fotelu i zaciągnąwszy się wonnym papierosem, spojrzał na mnie pytająco. Twarz jego wyrażała przy tem niejakie zaciekawienie i tajemniczość. Zapytałem więc: „Kiedy znowu wojna?“

Ale przepraszam. Nie tak było. Całkiem inaczej. Pan prezes wogóle mnie nie przyjął siedząc we fotelu. Ani nawet stojąc.

Stało się to na ulicy.

Pan prezes (dla innych), a Jurek (dla mnie) szedł właśnie w sprawie Gazetki, t. j. „Naszego Wyrazu“ na ważną konferencję. I to nie byle gdzie! Do starostwa. Bowiem formalne urodziny nowego pisma muszą być nietylko stwierdzone przez władzę, ale muszą uzyskać jej... zezwolenie. Nie takie to proste urodziny! Ale dzięki Bogu niema u nas tendencji do zmniejszania liczby urodzin. Bo w starostwie przyjęto nas nad wyraz życzliwie. Zadziwiająco i zadziwiające! Ale do tematu. Więc pan prezes zakładając nogę na nogę zapytał, to jest, przepraszam, nie zakładał nogi na nogę (na szczęście), bo szedł właśnie ulicą. Zapytałem go więc krótko i uprzejmie:

— Czy prawdą jest, że w najbliższym czasie zacznie znowu wychodzić Gazetka, pod nowym tytułem „Nasz Wyraz“? Czy prawdą jest, że pismo to będzie za główny cel swój stawiało napadanie na wszystkich i na wszystko, że będzie to miesięcznik komunistyczno - radykalno - antyrządowo - filomuzealno - narodowy i państwowo - twórczy? Czy rzeczywiście odpowiada prawdzie, że już w najbliższym czasie, t. j. przed wydaniem pierwszego numeru na głowy redaktorów zostaną nałożone wysokie ceny? I jak się Pan Prezes zapatruje na sprawę Bałkańską? Wiem, że nie na wszystko Pan Prezes może mi odpowiedzieć. Więc może ostatniem pytaniem (o sprawie bałkańskiej) nie będę Pana Prezesa trudził.

Pan prezes uśmiechnął się uprzedzająco grzecznie (kilku przechodni usunęło się z drogi) i po krótkiej przerwie (nie jest dobrze rozmawiać przechodząc przez jezdnię) odpowiedział:

— Wie Pan zapewne, że jestem przyjacielem dziennikarzy a specjalnie tych, którzy robią wywiady. Oczywiście, że na żadne z pańskich pytań nie dam Panu odpowiedzi. (Dyplomatyczny uśmieszek i przymrużenie oka. Koniecznie!) Ale parę słów wyjaśnień z całą chęcią. Otóż:

— Rzeczywiście w najbliższym czasie zacznie wychodzić miesięcznik „Nasz Wyraz“, dawniej „Gazetka“. Sam tytuł zawiera w sobie cele naszego pisma. Nasz wyraz, to to, co myślimy, co czujemy, czem się cieszymy, co nas boli — oto „Gazetka“, oto „Nasz Wyraz“. Ale bez polityki! Kto jesteśmy? Młodzież! Od najmłodszych, po uniwersytet włącznie. Nie ta młodzież trzydziestopięcioletnia! Ta prawdziwa młodzież, o której się pisze i mówi, że niema ideałów, że to jest ta powojenna młodzież, która... a za naszych czasów i t. d. i t. d. Ta młodzież do niczego nie zdolna, która nie potrafi nic stworzyć i wogóle, no wiecie — ta młodzież! Właśnie ta! Ta młodzież, której starsze społeczeństwo nie zna (optymista powie tutaj: czasem), której starsze społeczeństwo czasem nie zna, a którąby poznać chciało. Będzie więc okazja. Każdy z nas będzie miał sposobność wypowiedzieć się w sposób przyzwoity, ale swobodny. Podkreślam (tu pan prezes przemówił nagle basem) przyzwoity, ale swobodny!!

Z miny pana prezesa (właśnie weszliśmy do gmachu Starostwa) wywnioskowałem, że wywiad należy uważać za skończony. Wziąwszy więc autograf, dla czytelniczek i czytelników, podziękowałem mu serdecznie, poczem... poszliśmy już dalej jako zwykli ludzie.

Zresztą może i to nawet nieprawda? Może wywiad cały zmyślony? Ale w każdym razie jedna rzecz jest napewno pewna (jak masło maślane): jeżeli będziecie ten wywiad czytali, to rzeczywiście prezes koncernu „Nasz Wyraz“ miał słuszność mówiąc, że wkrótce „Gazetka“ zacznie wychodzić!

Pozostaje więc tylko zawołać (bez dyplomatycznych uśmieszków):

— Powodzenia!!!!

Józef Szczęsny.

KONRAD LEONICZ.

W październikowy wieczór u Kazimierza Czachowskiego.

— Jesień!...

Dojmujący chłód wżera się w kości lepką, kiśniejącą wilgocią. Z posępnego nieba spadają ciężkie, leniwe krople.

Nieustanny szmer na wypłukanym bruku.

Deszcz mży przenikliwie.

W dali, pod ciężką powałą październikowych chmur, w smutnym półmroku wieczoru, szeroko rozlana kałuża wielkiego miasta.

To Kraków!

Z mgły przebłyskują tu i ówdzie ogniki zapalanych świateł. A potem „mozolna“ droga pod górę. Ulica św. Bronisławy. Tutaj na lewo Gontyna, gdzie obrał sobie siedzibę największy współczesny dramaturg polski K. H. Rostworowski, nieco dalej na prawo ul. Anczyca — cel mojej drogi — Kaz. Czachowski.

Dzielnica artystów. Na innym stoku tego wzgórza, które króluje ponad błonia krakowskie — Rafael tutejszy, Vlastimil Hoffman.

A potem wywiad. Przyjmuje mnie gospodarz, mężczyzna energiczny w ruchach i mowie, opanowany niezwykle, oczy przenikliwe, czarne, bardzo żywe i inteligentne. Ten człowiek czyta, myśli i pracuje — chciałoby się wypowiedzieć w głos w tych trzech słowach całą charakterystykę miłego mojego rozmówcy. Atmosfera swobody i bezceremonjalności. Czuję się swobodnie i lekko w tym domu, więc też raźno wyłuszczam cel swojej wizyty.

(Według danych uprzednio informacji — miał to być „człowiek lubiący tematy związane z młodzieżą i traktujący je na wesoło“. Wtedy jednak zdołałem zauważyć u niego raczej żywe zainteresowanie i powagę. Może na to złożyła się pogoda, może treść rozmowy, może obie zarazem przyczyny).

Słucha mnie ciekawie. Przedstawiam najpierw historję „Gazetki“. Jej powstanie — z elementu właściwie jednego, wychowanego w jednej szkole, zżytego ze sobą wyjątkowo, następnie dzieje nasze, tej grupy, która to pismo stworzyła, a przedewszystkiem tragiczny moment rozprószenia po różnych gimnazjach, następnie naszą jedyną łączność, którą stworzyliśmy na polu „Gazetki“, jej stopniowy rozwój — i znowu bezlitosne zdławienie jej w trakcie jej największego rozkwitu.

Wreszcie pełen dumy przechodzę do o wiele ważniejszej sprawy, mianowicie jakie będą wytyczne organizacyjne dzisiejszego pisma, oraz jego założenia ideowe. A więc to już nie młodzieżowe usiłowanie, nie debiut smarkatych, ambitnych, chcących zostać „sławami“, jednostek — ale to sprawa już poważna, która będzie miała swoje indywidualne oblicze. Pismo to jest tembardziej wartościowe, że każdy, chcący w niem znaleźć platformę swej twórczości, jest z niem związany nietylko ideowo, lecz i materjalnie.

Fala entuzjazmu — a potem chwila oczekiwania. Co powie ten, który znając najlepiej współczesną literaturę polską, zna również najlepiej wszystkie przejawy kulturalnego życia naszego narodu. Ten człowiek przecież wie, gdzie tkwią jego braki i czego potrzeba, aby było inaczej...

A stamtąd płyną słowa pełne optymizmu i otuchy.

— Ja owszem, odnoszę się do takich imprez z ogromną sympatją i uznaniem. Z tem samem uczuciem witam fakt pojawienia się waszej gazetki. Widzę, że panowie zabraliście się do rzeczy bardzo rzetelnie i, jak widzę, nie brak wam zapału. Talenty — mam nadzieję — dopiero się wyłonią — dodaje z uśmiechem. — Znane są przecież fakty, że takie były początki niemal wszystkich pism, które odegrały później w życiu kulturalnem Polski tak ogromną rolę. Wystarczy tutaj wspomnieć znane pismo literackie „Pro arte et pro studio“, które potrafiło ze siebie wydać wielu znakomitych pisarzy doby obecnej — tych z młodszego pokolenia „Młodej Polski“ i innych.

Zkolei przechodzę do omówienia najważniejszej sprawy, mianowicie, jaki wyraz będzie miało nasze pismo.

Otóż, z jednej strony, większa część piszących u nas, będzie się rekrutowała z pośród akademików, którzy mają przed sobą otwarte, szerokie pole do pracy, w której każdy będzie mógł wykazać swoje indywidualne zdolności. Z drugiej zaś strony, dzisiejsza rzeczywistość nasuwa wiele problemów do rozwiązania, daje możność do zabierania głosu, w niejednej sprawie, społeczeństwo, państwo — a nawet świat cały obchodzącej. W rezultacie, czując się powołanymi do omawiania powyższych kwestyj, będziemy dawali wyraz tego w naszem piśmie.

Zwracam również uwagę na fakt, że młodzieży z wyższych klas gimnazjalnych — dawana jest mała możność swobodniejszego wypowiedzenia się. To, co się mówi tak dużo i tak powszechnie o prasie młodzieżowej, jest niewątpliwie dużym postępem w tym kierunku — lecz ta swoboda faktycznie jest fikcją. Oczywiście wszystko to zależy od opiekuna danego pisma szkolnego — jeden jest bardziej wyrozumiały i postępowy, daje większą swobodę młodym — lecz bywa też czasami inaczej. Uważam, że w tym wypadku należałoby młodzieży zupełnie rozwiązać ręce — niech nie uczy się pisać pod okiem nadzorczem, lecz raczej niech sama wyrabia się w pisaniu między sobą — wtedy w takiej grupie wolnej łatwiej będzie o talent, indywidualność — niż o grafomaństwo. A ileż to razy tak się zdarza wśród młodzieży, że niejeden gotów jest poświęcić swoje kiełkujące poglądy, swój własny sąd, pisząc coś wręcz przeciwnego samemu sobie, byle tylko miał swój utwór wydrukowany, byle jego nazwisko tkwiło pod jego utworem, umieszczonym w bądź co bądź poczytnem pisemku. I w dodatku, niekiedy ten niezdrowy pęd jest w bardzo przykry sposób wyzyskany do spraw, co do których każdy z nas ma bezsprzecznie głęboki szacunek i cześć. A młodzież wogólności ma swoje poglądy, po cichutku, między sobą, prywatnie bardzo dużo się mówi i to o kwestjach poprostu nagich — natomiast, gdy się spróbuje te same poruszyć przy większem kole obecnych, wtedy struchlałe miny, wtedy lęk przed karą, która juz jutro może takiego „rewolucjonistę“ spotkać w szkole. Młodzież się boi! Bojaźń przed karą (zresztą zupełnie słuszna, albowiem istnieją one w istocie i są bardzo ciężkie) powoduje owo wspomniane niekiedy wypaczanie charakteru — a co najbardziej przerażające, to brak buntu, brak porywów do czegoś nowego, podcięcie skrzydeł...

Może nietyle mi chodzi o bunt o zabarwieniu politycznem...

Tutaj przerywa mi mój interlokutor.

...A choćby bunt przeciwko ustalonemu porządkowi rzeczy.

Dlaczego nie? Zjawisko to jest wielce pożądane wśród młodych. Tylko należy go mądrze postawić — aby, jeśli weźmie ktoś starszy do ręki taki artykuł, mógł znaleźć tam coś wartościowego — a nie powiedzieć z przekąsem: „młodziki piszą“. Panowie zjawiacie się rzeczywiście w bardzo ważnym momencie — mianowicie w chwili, kiedy ustalają się formy rządzenia w Polsce. I tutaj możecie dużo zaważyć na charakterze państwowości polskiej. Dzisiaj, prądy choćby komunistyczne przestały być od jakiegoś czasu jedynie importem z Rosji sowieckiej. Dzisiaj i Polska może coś o tem powiedzieć. I w tym wypadku objaw buntu czy prometeizmu jest objawem wielce dodatnim, sprawdzianem żywotności, mimo wszystko nie wygasłej wśród młodych. Sprawa ta była od setek lat zawsze aktualną: — przeciwstawienie się młodego pokolenia starszym powinno być wiecznie żywe, bo ono tylko świadczy o tem, że młodzież jest zdolna, że ma coś do powiedzenia, co do przyszłych losów państwa i społeczeństwa.

— Co pan sądzi o młodzieży w ogólności? Czy ta dzisiejsza różni się czemkolwiek od dawniejszej, od owej z pańskich lat szkolnych? Ciekawi jesteśmy, jak to w owym czasie bywało?

— Otóż wyrazem dzisiejszej młodzieży w ogólności jest — sport. Zainteresowanie się kwestjami głębszemi, duchowemi jest słabsze niż dawniej — z tego powodu, że burzliwy temperament młodości wyżywa się raczej na boisku niż w dyskusji czy rozmyślaniu nad kwestjami bytu, nad zagadnieniami filozoficznemi. Romain Rolland wyraził się, iż ci właśnie starsi, przeciwko którym zwraca się przedewszystkiem impet młodości, znaleźli sobie doskonałego sprzymierzeńca w postaci sportu. Otóż oni świadomie skierowują całą tę furję na stadjony sportowe, aby tam ona się wyładowała i stała się przez to jaknajmniej niebezpieczną.

(Jeśli weźmiemy ponadto pod uwagę bardzo ciekawe spostrzeżenia Borysa Pilniaka, oraz Uptona Sinclaira, widzących w dzisiejszych rozrywkach, od jarmarcznych aż po salonowe, w dzisiejszej muzyce rozrywkowej, z arcybezmyślnemi foxtrottami na czele, główne przyczyny odwrócenia uwagi społeczeństw od spraw kultury i wszystkich bezpośrednio obchodzących przez „możnych tego świata“ — kto wie, czy nie będziemy u źródeł ogólnego zobojętnienia, które tak niejednemu dzisiaj, głębiej myślącemu człowiekowi rzuca się w oczy).

— Niewątpliwie gruba przesada — ciągnie dalej mój rozmówca — ale coś w tem prawdy bezwarunkowo jest. Nie neguję również wartościom sportu, ale przecież powinna istnieć jakaś równowaga pomiędzy jego uprawnieniem, a myśleniem.

I dalej snuje przede mną barwną opowieść lat swojej młodości.

I o tem, jak to w czasach strajku szkolnego w b. Kongresówce uczono się w prywatnych mieszkaniach, już to u kolegów, już to po strychach — jak to nieraz zdarzało się przy straży polskiej mowy, gdy wypadało nieraz z posterunku ostrzegać kolegów przed zbliżającym się szynelem rosyjskiego żandarma... Niewątpliwie, było wiele emocji, wrażeń i poczucia ważności w takich chwilach, jak zwykle u młodych, ale tym czasom — powiada mój rozmówca — zawdzięczamy swoje wyrobienie, swoje zahartowanie w walce o prawa ludzi młodych i Polaków zarazem. Przybywszy następnie do b. Galicji stanowiliśmy główny ośrodek pracy niepodległościowej. Wyrobieniem w walce z przeciwnościami imponowaliśmy wszystkim. Ponieważ tutaj mieliśmy znośniejsze warunki do pracy — więc też nic dziwnego, że odrazu zdołaliśmy koło siebie skupić młodzież, organizującą się w różne „Zarzewia“, które później tak wybitną i historyczną rolę odegrały w kształtowaniu się typu bojownika o przyszłość narodu. Niestety, nie mogłem już nadal brać czynnego udziału w realizacji tego dzieła — ponieważ musiałem wyjechać z kraju, na kurację zagrożonych płuc do Szwajcarji.

A potem opowiadamy już z całą swobodą o tem, że przecież dziwną jest rzeczą, iż Kraków, będący dawniej ośrodkiem życia literackiego, dzisiaj niema ani jednego pisma specjalnie z tej dziedziny (poza nielicznemi efemerydami), że przecież mimo to, iż Warszawa, jako stolica, przyciąga wszystkie najlepsze siły — to jednak tutaj powinno się kultywować dawne, chlubne tradycje. Maluję również memu rozmówcy nastrój, panujący wśród grona pracującego w naszej redakcji, któryby można jedynie porównać z nastrojem „Zielonego Balonika“ — i że my chcemy, my czujemy, że wskrzesimy to, co tak zamarło w starym grodzie podwawelskim — jego nową, młodą przyszłość literacko - społeczną.

— Powodzenia...

Gdy powróciłem w ów deszczowy wieczór październikowy do miasta, rozjarzonego tysiącem świateł elektrycznych — zdało mi się, że mimo niepogody i zasępionych ciemności, rozpiętych hen w górze, ponad sferą jasności, uśmiecha się do mnie zewsząd optymizm tego człowieka, który dał Polsce „Historję Literatury Współczesnej“.

Konrad Leonicz.

KRUCZKOWSKI BOLESŁAW.

GDY ŚPIEW DZWONU NA SERCA PADŁ.

Metaliczny w błękitach śpiew.

Rozedrgana pogodna przestrzeń majowa — cudem rozmarzona porannym.

U stropów dzwonnicy wiejskiego kościółka rozkołysało się spiżowe serce. Serce, które w dwutakcie uderza i kołysząc się na skrzydłach melodji tonów, płynie gdzieś wdal, ponad pola, łąki, lasy — ku ludziom.

W uśpioną świadomość Konrada, lekko jak motyl skrzydełkiem musnął pierwszy dźwięk. Ociężała kotara powiek powoli obnażyła oczy ze snu. Wzrok, wyłoniony z ciemności, urodził się nagle w jaskrawem świetle dnia. Osiadł na gładkiej, mlecznej płaszczyźnie sufitu, rozpiętego kwadratowem polem ponad ciszą samotnego pokoju.

Dzień nowy.

To srebrzyste granie wibrujące ponad pola, lasy, łąki i ponad dachy ludzkich osiedli.

Myśl Konrada ulata na eterycznej fali głosu, rozbrzmiewającego gdzieś, z za okna, gdzie zaranie rozkwitło wiośniane.

... Gdzie lasy potężnym, zwartym stoją szykiem, niby hufce legendarnych olbrzymów na barkach ujarzmionych gigantów gór — i z powagą wtórują echem swych gęstwinnych głębi dzwonom, wołającym w dolinie — i szepcą chóralnie poszumem igliwia swoje odwieczne modlitwy.

... Gdzie skalne masywy ku błękitom wznoszą swoje kamienne czoła, niczem dumne, przeogromne sfinksy, w mądrość prawieków zadumane.

... Gdzie łąki ścielą się zielonością zroszonych traw w łagodnych, harmonijnych barwach do słońca, igrającego miljonami odcieni po rozsianych na łodyżkach brylancikach wilgoci.

... Gdzie struga krynicznej wody wpadając w duży, siny strumień w namiętnym pędzie, ze szmerem i radosnem drżeniem strzelając we wszystkie strony wodnym pyłem, w tęczowe kolory się mieni i falą srebrzystą błyszczy, niczem przepyszny wąż. Czasem słuch wyławia w tem jakby jakąś melodję bez końca — jakby jakiś prelud w tonacji mol.

Ach, wyszybować teraz na piórach promiennych, które radość przyprawia do ramion duszy w świeży, pachnący bezkres podobłoków — i ulecieć gdzieś ponad światem w nieskończoność. Upić się, zachłysnąć — wciągnąć do płuc cały otaczający bezmiar chłodnego jak zdrój powietrza — ogarnąć wszystko jednym haustem, zlanem w jedno z uczuciem i ze słodyczą dźwięków, wzywających gdzieś z za omglonej delikatnie dali modlitwę.

Bim - bam — bim - bam ...

Konrad czuje w ustach lepki, słodkawy smak. Odchrząka czerwony skrzep krwi. Tylko zdaje mu się, że nagle z rajskich wyżyn zwalił się na jego piersi jakiś brzemienny ciężar, który gniecie brutalnie kolanem jego wątłe żebra.

Wstaje. Nic to.

Wokół niego czyste, pedantyczne meble sanatoryjne, wytwornie biało wylakierowane, grzeczne i zimne — kłaniają się wkoło, jak usłużne pielęgniarki, gotowe na każde skinienie pacjenta.

Nic to, kołacze w głowie Konrada z całą siłą przekonania uporczywe przeczenie.

Ten dzwon wzywa mnie do pracy. Wziął z szafki kalendarzyk z zapiskami na dzień bieżący. A więc dzisiaj: pisanie do województwa, do sądu, do krewnych. Dużo pisania — a potem nowe życie ... Obowiązki, to przedewszystkiem.

I za oknem jednostajny pojęk dzwonu.

— — — — — — — — — —

Doktór Hansen zerwał się z posłania. Energicznie napiął do dzisiejszych wysiłków wypoczęte członki. Przetarł twardo oczy i wyjrzał na świat. Słychać było i tutaj poranne dzwonienie z pobliskiej plebanji. Jak zawsze — od tylu lat ... Budziło go ono o tej porze do codziennej szarej pracy — wiernie wieczorem towarzyszyło do snu.

Obowiązki, to przedewszystkiem. Do nich należy:

I tutaj zaczął w myśli wyliczać: Konrad, no tak, rzeczywiście, stan niemal katastrofalny ... Kto wie, czy parę dni pociągnie ... Gorączka wysoka — i to bardzo wysoka.

Wydobył z szuflady niedużą książeczkę, w której zwykł zawsze notować wszystkie swoje spostrzeżenia, co do kuracjuszy, pozostających pod jego opieką w sanatorjum. Na czarnej, przyniszczonej okładce napis: Dr. Eugenjusz Hansen — Zakopane — Sanatorjum dla piersiowo chorych ... Reszta adresu została z biegiem czasu palcami wytarta. Drobnostka.

Otóż Konrad. Wczoraj stosunkowo nisko. Ale czy to nie charakterystyczne? Boję się tej poprawy. I co najbardziej zdumiewające — ten człowiek ciekawie choruje. Wierzy w swe zdrowie — niczem atleta jaki. No, niechtam. To jakiś niezwykły talent chorego — lżej mu będzie w ostatniej ... Co za śliczne brzmienie ma ten dzwon. Doprawdy, warto słuchać i marzyć — monologował stary doktór.

... Leczyć. Dobrze, leczyć — ale co to znaczy? Niektórzy chcą widzieć w lekarzu cudotwórcę. Trudno, nie na tem polega nasza sztuka. My, tak jak mechanicy-inżynierowie, którzy stoją przy maszynach i tylko przekładniami uruchomiają siły żywiołów, aby służyły człowiekowi — stoimy przy skali rozdzielczej sił natury, regulując tylko ich działanie dla dobra zdrowia ludzkiego. A jeśli materjał kruchy — tem prędzej rozpadnie się w proch w potężnych trybach tych sił ... Ot, co — albo ta Marja Siergiejewna, Rosjanka. Ładna dziewczyna — szkoda jej. Ale co robić. Najwyżej zapiszę jej tutaj jeszcze coś słodkiego.

Usiadł niezgrabnie, całą zwalistą masą swego ciała na trzeszczącem krześle.

Ostrze gęsiego pióra zaskrzypiało zdecydowanie na papierze:

Siropus — 200 gram. A. cet.

— — — — — — — — — —

Marja sięgnęła po zaczętą wczoraj lekturę. Ma osiemnaście lat. Lawrence zaznaczył na wstępie, że w tym wieku powinny wszystkie kobiety przeczytać jego dzieło. On tak radzi. Ale czy tak jest, jak on pisze?

„Kochanek lady Chatterley". Więc czyż aż tak? Kobieta pragnie w życiu tylko zaspokojenia zmysłów —

dopiero wtedy, po ich zaspokojeniu rozwija się w niej sens życia.

Sens życia — i ja. Ja, kobieta, która pragnie życia — ja, suchotnica.

Zaśmiała się bezgłośnym, bolesnym śmiechem wewnętrznym. Chyba autor nie myślał o takich, jak ja. Bo skąd — ja już nie należę do żywych. Dziś dla mnie tylko rezygnacja — tylko ciche cierpienie w ustronnem sanatorjum.

Bez skargi na zło, które trapi — bo jest Bóg!

Myśl wplata się niewyraźnie w jakiś system religijny — w jakieś dawno zasłyszane rozumowanie.

„Zło, jako takie, choć nie jest bynajmniej czemś dobrem, to jednak jest rzeczą dobrą, że istnieje, dlatego, że istnieje z woli Bożej.

Istnienie zła dlatego jest rzeczą dobrą, że zło musi służyć dobru. Albowiem Bóg umie samo zło w dobro obrócić. Mógłby był niedopuścić do zła, lecz uważał za rzecz lepszą zło obracać w dobro — niż zła wcale nie dopuszczać. Wspaniałość porządku świata jaśnieje jeszcze świetniej — gdy także zło w nim się znajduje i służy dobru“.

Lecz cóż — dla mnie największem złem jest myśl o rychłej śmierci. Do jakiego dobra moja śmierć się przyczyni?

Może choroba tak, ona bowiem wysublimowała mnie ze zmysłów „Lady Chatterley“ — lecz śmierć?

Marja oparła się o parapet okna.

Urzeczona słonecznym poematem, wsłuchała się w mistyczne tony od wsi płynące aż tutaj.

... Oto Frühlingslied wszystkiego co istnieje.

Zdrowia i życia — „Kochanku lady Chatterley“.

I stłumione westchnienie z próżnych, dziewczęcych piersi.

— — — — — — — — — —

Ave Maria — gratiae plena ...

Blady, anemiczny szept, który zdawał się przylepiać do ust, jak wypłowiała od lat karta, przerzucana z nabożnym szelestem w kościele do palców staruszki, cicho skradał się poprzez martwotę zastygłą wokoło.

Ksiądz Sylwester złożył brewiarz na stoliku i utonął w kontemplacji rozmyślań. Począł snuć poprzez bożącą się ku Stwórcy wyobraźnię, czekający go dzisiaj, codzienny kalejdoskop wydarzeń — jak codzienne paciorki różańca poprzez miękkie, pieściwe palce. Kładły mu się na wargi rozmowy z pozornie zrezygnowaną Marją — pełne optymizmu dyskusje z Konradem i namiętne dysputy z Leonem.

O tak, temu człowiekowi trzeba będzie powiedzieć — krzyknąć — wołaniem do głębi, jego poglądy odwrócić — duszę ratować. Nie to, co on głosi, przynosi pociechę ludzkości — ale wiara w Stwórcę przedwiecznego.

Zdało mu się, że przed chwilą zegar wybił szóstą godzinę. W zagubione poczucie własnej jaźni uderzyły niewyraźnie tylko trzy dźwięki. —

I wmieszały się do dźwięków dzwonu jednostajnego rytmu.

— — — — — — — — — —

Symfonja ...

Symfonja wzburzonych do głębi żywiołów.

Morze rozkolebane do dna.

Wysokie akordy, niby muzyka Wagnera, ryczą całą mocą, jakby tysiącznych bitew wszystkie huki armat naraz pękły nad światem — jakby wybuchły naraz wszystkie ryki z gardzieli miljonów, idących do nienawistnego szturmu.

To znów chlipanie płaczu wód ciekących.

To zda się, że ktoś przewala całe góry — lub miele w piekielnym młynie swych czeluści skalną skorupę świata. Lub czasem śmiech chutliwy, szyderczy, wyuzdany — czasem znów ciszy bezdennej, głuchej chwilka.

— I znów wybuch nagły, nieoczekiwany, wielki, niebosiężny.

A na pianach liżących grzebienie fal staje On — Człowiek.

Człowiek i ludzkość! Ludzkość w człowieku! On tylko jeden!

Błyskawicami smagana, surowa twarz.

On tylko jeden — a przeciw niemu Śmierć.

I znowu walka. I znowu gigantyczne łamanie się w przegubach.

On i żywioły. Pioruny i spokój. Zgielk i namaszczenie.

Wreszcie rozpękła się ołowiana powała chmur.

Słońce zalało złotem pierzchającą noc.

W triumfalnych blaskach zajaśniał On — piękny, bohatyr nad bohatyry.

Ludzkość i On!

Zwycięstwo — Zwycięstwo!

Ujarzmienie śmierci!

Rozkolebały się teraz rozgłośnio serca Zygmuntów — pod szklaną kopułą niebieskiego tumu.

Uroczysty Sabbat zwycięskiego Życia ...

— — — — — — — — — —

Kiedyż to dzień taki nastanie. Kiedyż ten obraz przestanie przerażać patosem, a stanie się realną prawdą?

Daremne westchnienie z piersi Leona.

Może jutro ... Lecz przed jutrem musi być noc ...

I cisza.

— — — — — — — — — —

Splątały się tony w jedno — rozbrzmiały głośniej i zmilkły.

— — — — — — — — — —

W dużej sali jadalnej sanatorjum Konrad z Leonem żywo rozprawiali ze sobą. Całą gromadę stanowiły poszczególne grupy kuracjuszy, z których każda z osobna miała swoje własne sprawy, do których nikt się z innych nie mieszał. Opodal nich siedziała samotna Marja, zimna i smutna, jak zwykle — machinalnie przerzucająca strony dzienników. Nikt na to nie zwracał zresztą specjalnej uwagi. Znali ją z tego oddawna, że lubi samotność — więc też nikt nie próbował wejść z nią w rozmowę.

— Bo widzi pan, ja jestem pełen siły żywotnej, ja chcę pracować i to solidnie. Doskonale się składa, że właśnie otrzymałem odpowiedź od brata, który mi wczoraj napisał, że należy czemprędzej złożyć podanie w urzędzie wojewódzkim — a on się już tą sprawą zajmie. Sto procent pewności, że wynik będzie pozytywny.

Leon skrzywił się nieco tajonym, ironicznym uśmiechem i zapytał: Dawno się pan doktoryzował?

— Rok temu, kochany panie.

— No tak, widzi pan — państwo nasze potrzebuje młodych sił, niezawodnie karjera przed panem otwarta.

O tak — podchwycił Konrad z zapałem, to jest idea, to jest poezja! Gdy zostanę wreszcie sędzią, zasiądę za swoim warsztatem pracy — może to nie bę-

dzie poezją pisaną — ale będzie to stokroć piękniejszą, bardziej wartościową poezją żywego czynu — gdy będę sprawiedliwym. Ot co? Sprawiedliwość! Oto, walczyć do upadłego, do ostatniego tchu i paść na posterunku, byle tylko widzieć, że moje usiłowanie nie poszło na marne.

— No w istocie — piękne życie — przerwał Leon. I jeszcze domek do tego, ładna żona i parę dziatek zdrowych, szczebiocących wesoło wokoło chudoby. Ale wie pan — pan robi na mnie czasem wrażenie dużego i niepoprawnego dzieciaka.

Otwarte szeroko źrenice Konrada.

— Dlaczego, czyż państwo nie potrzebuje ludzi uczciwych?

— Niewątpliwie tak, ale czy zastanawiał się pan kiedy nad tem, czego potrzebuje ludzkość?

— To niepotrzebne panie Leonie. Niech w każdem państwie będzie dobrze, to suma tego da pomyślność ludzkości.

Leon parsknął śmiechem.

— Ależ panie — toż to stary, wyświechtany frazes. Ale mówmy nieco realnej. Panie Konradzie — czy zastanawiał się pan, pisząc dzisiaj w sprawie tej posady, że przecież jej pan nie obejmie nigdy, ponieważ pan umrze niedługo?

— Ha! ha! dobry kawał panie kolego. Ale nie na miejscu. Pocóżem tutaj przyjechał? Chyba po zdrowie — nieprawdaż?

— Tak, tak — niezawodnie. Ale mimo to pan umrze i to bodaj, czy nie wnet. Ale proszę mnie posłuchać, dlaczego tak się stanie. Pan umrze, a to dlatego, że pan nigdy nie myślał o śmierci.

Pan się uczył, zawsze pełen żywotności (napewno w biedzie) zawsze z tą myślą, ażeby osiągnąć cel, posadę, pracę, gdzieby pan mógł realizować swoje szczytne idee o sprawiedliwości. I właśnie ta dążność, ta żywotność, ten ślepy optymizm pana zgubi.

Niech pan teraz posłucha. Niemal cała ludzkość dzisiejsza, aczkolwiek nie chora na gruźlicę, jest taka, jak pan. Największą jej troską jest chleb powszedni.

— Cóż w tem dziwnego — kochany panie — przerwał Konrad. Jak temu zaradzić? Przecież to paradoks: nie starać się o chleb powszedni a chcieć przytem żyć.

Otóż to — to — rzucił się Leon namiętnie. Trzeba ludziom dać chleb do ręki tak, aby nie był jedynym najważniejszym i najrealniejszym celem wszystkich. Uwolnić ich od tej fałszywej troski. Gdy to będzie im dane, wtedy najważnejsza rzecz będzie do osiągnięcia. Wtedy zacznie cię pierwszy etap walki życia ze śmiercią. Wtedy pokonanie przestrzeni, czasu, i śmierci będzie już bliskie.

— Ha! ha! ha! Wyborna teorja. Fantastyczna, panie kolego. Tylko pan to mówi tak, jakby pan był nieśmiertelnym.

— I ja muszę umrzeć — dodał głucho Leon. Ale śmierć moja, tak jak wsystkich, to tylko przekleństwem będzie w stronę ludzkości dzisiejszej.

— — — — — — — — — —

Usiadł w lesie na niedużej polanie wśród młodziutkich sosen, opodal budynku sanatoryjnego. Niedaleko mógł nogi ciążące wlec za sobą. Teraz pragnął być sam na sam ze swojem szczęściem. Czyż to nie radość — gdy zasiądzie uroczyście na wokandzie sądu, w czarnej, dostojnej todze, gdy wsłucha się w skargi stron będzie sięgał wgłąb tych dusz nieszczęśliwych, będzie zanurzał się do dna ludzkiej ciemnoty, nędzy i krzywdy z gorejącą pochodnią sprawiedliwości. Och, niedługo już, niedługo.

Na kłosach wonnej, kwiecistej trawy, wietrzyk szemrał delikatne, tkliwe pieszczoty do słuchu kłosów lekko kołyszących się nad liście. Przyłożył ucho do ziemi — Zdało mu się, że tam z głębi słyszy aksamitny rytm serca, pulsujący krwią wszechżycia. A on jego nierozdzielną cząstką.

Nagle jakiś kobiecy głos wpadł nieoczekiwanie w sanktuarjum jego ciszy słonecznej.

— Słuchaj Marysiu, jakie ciebie ogarnia uczucie, gdy sobie pomyślisz o śmierci?

A potem matowy głos Marji

— Wiesz, to jest straszne. Taka pustka okropna, takie przeraźliwe wtargnięce do serca — to — jakby cięcie zimnym ostrzem lancetu przez ciało. Tak młodo, tak wcześnie. Nie mów o tem.

Tak, to niezawodnie mówiła Marja. Ta dumna, zimna Rosjanka. Ale skądś ja te słowa znam... Przecieżem kiedyś takie słowa słyszał. Czy nie w odległych latach dzieciństwa? Rozejrzał się płochliwie za siebie. Coś tu przeszło. Może śmierć wionęła swojem czarnem skrzydłem... Ktoś drugi się skarżył tutaj. Młody ktoś, co pragnie żyć.

Ktoś trzasnął jakby z brzękiem tłuczonego szkliwa wierzejami duszy, w znieruchomiały bezmiar spokoju — w rozwartą ekstazę tętniącego życia.

Tkwił jeszcze nieruchomo na ziemi. Lecz już oddech zamierał powoli w zmęczonych płucach. Zdało mu się, że teraz ciało zwolna zaczęło z niego opadać w kawałach, że on jeszcze odczuwa boleśnie cały proces rozkładu w sobie — że znika powoli, gubi się, zatraca...

Stanął na granicy życia.

Kostniejącą ręką powiódł po twarzy. Na niej rozlana farba, piekącego niby szpilkami, suchotniczego rumieńca.

Był już innym człowiekiem.

Stanął na drugim krańcu życia.

— — — — — — — — — —

Wieczorem rozeszła się wiadomość wśród kuracjuszy, że Konrada ledwo żywego przyprowadzono do willi i że stan już beznadziejny. Kto wie, czy do jutra dociągnie. I dziwili się wszyscy niezmiernie. Przecież Konrad, ten młodzieniec pełen dowcipu i pełen niekiedy różowego humoru — „Ależ nie — to niemożliwe kochana pani“. Zdarzenie to o tyle jeszcze poruszyło wszystkich do głębi, że dotychczas wszystkie podobne temu, były bardzo dyskretnie maskowane przez zarząd zakładu — a to w tym celu, aby nie wywoływać niepotrzebnej paniki wśród kuracjuszy, potrzebujących przedewszystkiem dobrego samopoczucia w leczeniu. Niestety, wypadek z Konradem był zanadto widoczny.

Chory odzyskał przytomność.

Koniecznie chciał jeszcze rozprawiać z czuwającymi u wezgłowia Leonem i kapelanem sanatorjum.

— Widzicie księże doktorze. Teodor Lessing bardzo głęboko ujął rzecz swoją. Ale z tego dowodzenia najważniejszem dla mnie jest to, że mówi on o wierze Europejczyka w swoje posłannictwo: człowiek panem wszystkiego.

Chrystus, Syn Boży stał się człowiekiem. Stąd duma ludzka — bo przecież ze wszystkich stworzeń żywych Stwórca jego sobie upodobał i jemu tylko dał Swego Syna za Odkupiciela. I stąd przekonanie człowieka, że powinien panować nad światem — stąd

właśnie cywilizacja dzisiejsza, cywilizacja zachodniej kultury.

— Pytanie, czy na właściwym stoi torze — wtrącił Leon.

— Lessing powiada, że nie. Ale chrześcijanin musi przyznać, że tak, że dzieło łaski Bożej wzrasta mimo wszystko z dniem każdym.

— I znów frazes, kochany panie. Przypomina pan sobie, co pan mówił o łasce Bożej, o wszechmocy, o przeznaczeniu i dobroci Najwyższego. Czemże to jest, to mówienie wobec śmierci?

— O, proszę — przerwał niespodzianie ks. Sylwester. — Tylko wiara w wolną wolę, niezależną od Boga, mocniejszego od przeznaczenia, może ludzi doprowadzić do czegoś, do jakiejś kultury. Tylko ona może człowieka napełnić tym zdrowym optymizmem, że jego własne siły są potężniejsze w dziedzinie jego własnych zamierzeń od jakichś innych, mściwych niekiedy przeznaczeń. Gdyby nie to, opadłyby ludziom ręce i nie imaliby się za bary z twardą przyrodą, pierwotnością. To jest najważniejszą bodaj zasługą naszej wiary — i tutaj nie myli się Lessing zupełnie, dowodząc, jak wielką rolę odgrywa w tym procesie wiara w posłannictwo Syna Bożego.

— No, to widzimy — przerwał Leon gwałtownie.— Zresztą, Lessing czego innego dowodzi: mianowicie, nie podoba mu się wyraz tej kultury, wyrosłej z wiary w posłannictwo... Ale mniejsza z tem. Oto mamy przykład do czego prowadzą wasze przekonania. Ten był ideałem uczciwości i prawości obywatelskiej według wymogów. Ale czyż mimo otaczających go zawsze obłoków optymizmu i wiary we własną wolną wolę — nie pragnął najusilniej żyć? I oto, proszę patrzeć — osiągnął cel — umiera!

— — — — — — — — — —

Konrad spojrzał dokładniej. Oto jakby z pośród ciemności wychyla się ku niemu czyjaś twarz, jaśniejąca dziwnym blaskiem, twarz niby z greckiej ikony, o rysach znanych, widzianych tyle razy — Marja. Jej ciemne, migdałowe oczy patrzą na niego ze smutkiem bezgranicznym, z rozpaczą bez słów, pełne ognia iskrzącej się krzywdy.

Marjo — szepczą blade, wyschłe jak papier wargi.
Melancholja gra w sercu miłosną pieśń.
(Człowiek na brzegiem przepaści usłyszał, że ktoś krzyknął: lecę. Spojrzał w dół i sam runął z urwiska).
W krzyku twego serca zrozumiałem, że muszę...
A może też ten krzyk przebił me serce nawskróś i oddał je tobie... Może to miłość przedzgonna?
Marjo przyjdź...

— — — — — — — — — —

Leon nie lubiał łzawych scen. Mimo pozornej oschłości, był wrażliwy niczem łza.

Bez szmeru wysunął się na korytarz. Szedł spiesznie, jakby goniony przez jakąś mściwą zmorę, nie oglądając się za siebie. Czuł tylko, że minął go jak cień lekarz zakładowy. Przystanął na tarasie.

...tak, aby nastał dzień nowy, musi zapadnąć noc.

Tam, gdzie dzień ginął w ciemności nieprzeniknionej topieli, gdzieś hen za smugą horyzontu, dźwięk ostatni dzwonu konał w oddali.

Kruczkowski Bolesław.

KONIEC.

TOMASZ BARDAJ I ADOLF GAWALEWICZ.

ROZMOWA Z NOWAKOWSKIM.

— Cała literatura dotycząca polskiej młodzieży, ogranicza się do paru pozycyj, a i te nieliczne wiążą się z epoką minioną, z czasami przedwojennemi (Młody las, Sztuba, Rodzina Smużków, Wspomnienia niebieskiego mundurka, Trylogja Bieniasza, Zmory). Niema powieści, któraby traktowała o dzisiejszej młodzieży. Potrzeba zaś oddania jej wyrazu jest naglącą i konieczną.

— Mogę mówić tylko o swoich książkach, co do innych, to spotykam się z różnemi zdaniami i sądami. Książkę o dzisiejszej młodzieży możecie napisać wy sami. Wprawdzie nie zaliczam się do „starych“, ale przeszkodą w oddaniu obrazu waszego są lata, które mnie od szkoły dzielą. Zresztą trudno jest pisać o rzeczach współczesnych objektywnie, a z drugiej strony — nie ma się perspektywy, potrzebnej pisarzowi. Nawet gdyby ktoś z was napisał taką rzecz, nie byłaby objektywną.

— Młodzież pisząca spotyka się z takimi zarzutami, jak ostatnio na łamach „Prosto z mostu“, gdzie głosi się, że „uczcie się łaciny, a potem piszcie wiersze“.

— No, jeżeli ta łacina ma przedstawiać naukę szkolną, to racja — obecnie przecież obcina się program konkretnej nauki, a z drugiej strony stawia się uczniom wymagania, którym nie mogą sprostać. Ciągle nadsyłają mi różne „okazy“ polonistyczne... zadania i listy... Najcharakterystyczniejszy był jeden z nich, w którym jakiś gimnazjasta skarży się, że na pisał zadanie a nauczycielka oburzona kazała mu „...Nowakowskiemu takie rzeczy odsyłać...“ No i przysłał. Rzecz więcej niż grafomańska... potworna...

— To też grafomanja kwitnie na łamach t. zw. prasy szkolnej.

— Grafomanji nie należy się obawiać. Ona sama minie, przejdzie bezboleśnie. Wiem, z różnych „arcydzieł“, które przysyłają mi ciocie i mamy, że grafomaństwo jest nieszkodliwe. Ale wracając do „starych“ literatów. Jakże zapatrują się młodzi, szczególnie młodzież gimnazjalna na współczesną powieść o nich?

— Dwa są podejścia do tematu... albo z łezką sentymentu lirycznego, albo z brutalnym przejaskrawieniem. Naprzykład Zegadłowicz mści się perfidnie i jednostronnie przedstawia współczesne mu środowisko. Pisze poprostu paszkwil.

— Tak panowie sądzą?... zapewne, że w „Zmorach“ dominuje subjektywizm, ale jest kwestją, czy to całe „świntuchowanie“ jest organicznie związane z powieścią, czy tylko trickiem reklamowym.

— W tym wypadku zachodzi ta przykra sprawa, że czytelnicy nie umiejscawiają „w czasie“ powieści, że uogólniają fakty, rozciągając obraz „wczoraj“ na czasy obecne. Wszystkie zatem cechy przedwojennej młodzieży przenoszą na młodzież dzisiejszą. Wytwarza się fałszywy obraz, fałszywe sądy.

— Ja osobiście nie miałem potrzeby kierować się w „Rubikonie“ animozjami... Uczyłem się dobrze,

szkoła nie była niesympatyczną... Obecnie stoicie wobec epoki zmian, epoki przejściowej stanów tymczasowych. Eksperymentują na was, pogłębiając przepaść między „górą“ a „dołem“. No bo rozdział między „górą“ a „dołem“, w tym wypadku między uczniami a uczącymi, pozostanie zawsze. Trzebaby jednostek nadzwyczajnych, natur poprostu... kapłańskich, żeby ten rozdział usunąć. Tymczasem wytwarza się dziwny stosunek i dziwne metody. Naprzykład: zbliżenie dziecka do życia... (nauczycielka prowadzi klasę szkoły powszechnej na salę sądową). Czy to ma być nauka „poglądowa“. Dziecko dalej pozostanie oddalone od życia. Podczas mego pobytu w Z. S. R. R. miałem możność zaobserwowania, w jaki sposób np. oprowadza się dzieci po muzeach. Odnoszą one rzeczywiste korzyści kulturalne, podczas gdy u nas kwestja kultury jest sprawą uboczną, do której nie przykłada się wagi.

— Młodzież nie interesuje się sztuką i literaturą piękną. To racja. Ale jakie są przyczyny? Myślę, że dlatego, że dziś niema ani wielkiej sztuki ani wielkiej poezji. Wszystkie „...izmy“ współczesne są oznaką mijania, przejściowości. Poezją awangardową zajmują się bardzo nieliczni, malarstwa nie rozumie i nie odczuwa prawie nikt z młodzieży.

— Dlatego też wyczyny krakowskiej grupy literatów minęły się z celem. Stylu nie wytwarza dyskusja. Jego charakter jest, że się tak wyrażę „boski“. Nie posiadamy żadnych dogmatów artystycznych.

— Właściwie wobec tego „dzisiaj“ to religja oczekiwania.

— Przypominam sobie mowę Goebels'a: „Nie pozostaje nam nic innego, jak w pokorze czekać na to, co musi samo nadejść“.

Tomasz Bardaj i Adolf Gawalewicz.

LEO LIPSCHÜTZ. (Zrzeszenie Najmłodszej Literatury)

Egotyki.

I.

POCIĄG.

Pociąg płynie faliście wśród pól. Panienka przy oknie kołysze się i płacze. Starszy pan czyta gazetę. Chłopiec stoi przy drzwiach i zdaje mu się, że przez poruszanie klamki kieruje pociągiem.

II.

MUS.

Stała przed lustrem i czesała wolno włosy. Jaskółka przecięła niebo nerwowym zygzakiem. Mnie drgało jeszcze w wargach ostatnie, decydujące słowo. Ona czesała jeszcze ciągle pomału włosy i czekała; czekała też ubierając płaszcz, czekała w każdym wolnym i płynnym ruchu. Gdy już nic nie stało na przeszkodzie temu, żeby odeszła popatrzyła na mnie. Pogłaskałem jej bezradnie twarz i pocałowałem ją w policzek, ale powiedziałem:

— Mimo tego nie mogę... —

bo bałem się,, żeby nie wzięła tego za to, naco czekała. Wtedy wzrok jej stężał jak wosk w zimnej wodzie, potem złamał się, prysł. Poprosiła o chusteczkę i powiedziała:

— Dowidzenia.

Usta się zgięły, ręce opadły.

— Dlaczego płaczesz?

III.

W NOCY.

Świat przygniótł mi zmęczone oczy i złamał wzrok jak szpadę; dlatego lubię noc.

IV.

NIEUCHRONNA POZA.

Chmury tłukły się głucho o szczyty, jak lodowe kry. Ścieżką przylepioną do zbocza wchodziłem w czerwień pryskającą z za grzbietu. Za mną noc kładła fioletowe, jak niebo, ręce na góry. Chata wciśnięta w dwie ściany chwiała się od głosu dzwonków. Czułem przyszły sen w dzwonkowej chacie.

Wszedłem.

Człowiek o jasnej twarzy wskazał mi schody wąskie i ciemne. Potem pokoik pachnący drzewem i sosnami. Wolno zapadłem się w słomę cicho szeleszczącą. Sen chwiał się nade mną, jak ptak. Dzwonki już usnęły, gdy poczułem strach.

Plecak wisiał nad głową. Wsunąłem w niego rękę. Uczułem gładki, biały (to było oczywiste) papier; a w małej, bocznej kieszonce — nic.

Ostatnie, przedsenne godziny skoczyły na mnie, jak psy. Tam nad strumieniem, w korzeniach sosny — został. Strach uczepił się gardła.

Wstałem.

Biegłem ścieżką przylepioną do zbocza. Przede mną była noc. Za mną wspomnienie czerwoności. Musiałem biedz, bo nie mogłem zostać przez noc bez niego. Bałem się, że myśli natrą na mnie, że będą bić w mózg, jak chmury o szczyty. Mógłbym się udusić.

Strumień prysnął z za zakrętu. Tam była sosna i korzenie chłepczące wodę. Słup światła z latarki wdarł się w mech. Ołówek leżał na zieleni. Podniosłem go. Nie mogłem przecież zostać przez noc bez niego.

V.

JA NA PROWINCJI.

Chłopak pali fajkę i siedzi na ławce. Ja poszedłem z jednym panem oglądać pociągi na stację. Chłopak woła, że go fajka pali w język i że spóźnimy się na przetaczanie wagonów. Trudno. Ten pan ma reumatyzm i nie może iść szybko.

Ale mamy szczęście. Właśnie odczepiali lokomotywę. Potem tulali wagony i przestawiali zwrotnice. Gdy to się skończyło, odeszliśmy ze stacji i postanowiliśmy czekać na pociąg z M., który miał za kwadrans przyjść.

Tutaj są bardzo punktualni. Dlatego rampy były już dawno spuszczone i chłopi musieli je sami podnosić, jak chcieli przejechać. Jest tu jeden taki, co tym chłopom za 2 grosze stale podnosi, ale tylko przed południem.

Kilkaset metrów przed stacją jest mały mostek i pod nim miejsce na rzekę, jak jest deszcz. Ja i ten pan wchodzimy pod ten mostek i pociąg przejeżdża nam nad głową. Właśnie było słychać fukanie. Weszliśmy tam szybko. Serca biły nam z tremy. Dudnienie zbliżało się. Potem zwalił się nam na głowę huk. Pan zamknął oczy, ale usta mu się śmiały. Gdy przeszedł ostatni wagon, stał tak chwilę i powiedział:

— Jabym się tu na stałe urządził.

Odpowiedziałem:

— Jakby był deszcz, toby reumatyzm pana zaraz wypędził.

Potem poszliśmy do domu.

Leo Lipschütz.

HOŁUJ TADEUSZ.

Wezwanie do buntu.

Idziemy codzień
ze wsi, z miast —
przechodząc...
— Słońce płomieniem zamyka dnie,
palą się słowa...
(i do poetów,
młodych, błądzących chłopców
piszę wiersz —):
Słowami prostemi piszę:
zadumani, rozmarzeni ślepcy
chciejcie usłyszeć:
Wiem, że jutro dnie będą te same
nie zmienicie niczego wierszami
i kolebać będziecie ciszę
i daremnie będziecie się spalać.
Idziemy codzień...
przechodząc...
W wierszach swych cicho śpicie
tęsknicie za życiem, które koło was idzie
boicie się.
Musicie odejść, zaginąć...
I znowu młodzi nadpłyną.
— Słońce płomieniem zamyka dnie...
Obudzić ciszę
niech wszyscy słyszą
Rozpalić, przekuć stal słów
ze snów, z pajęczych wierszy,
najszczerszych
pieśni bojowych w życie posłać huk.

Hołuj Tadeusz.

J. POREMBSKI.

Piargi.

W żleby piargami chropawe
Wszedłem z turni samotnych,
W siklawne wsłuchanych pomruki.
— Drażnił mnie rudy mech nad stawem —
Lawiną uczuć wdarłem się w głębie wilgotne
Skał rozciętych w potoków koleby.
I przeszedłem wskroś bliski, a obcy —
W pochrzęście kroków mijam kamienie,
Stopą je zgniotę, potnę,
Obce szare granity —
Hej!
Wędrowałem ślimakowatym szlakiem,
Gdzieś mnie jakiś turysta zapytał —
Czy na Rysy błękitne są znaki...

J. Porembski.

JERZY WEINTRAUB
(Zrzeszenie najmłodszej literatury).

Bajki o

Krzysiowi Klauze

Bajka banalna.

Mały chłopiec piwnooki nazywał się pięknie Krzysztof.
Jego ojciec nie był podróżnikiem. Pracował w smutnem
[biurze.
Okrągłemi wyblakłemi oczami spoglądał w bezbarwną
[przyszłość
i płynął zgiełkiem arytmografów zatopiony w terkot
[remingtonów.
Wieczorem, gdy temi samemi ulicami powracał do domu,
topił spojrzenie nie w usianym kamyczkami gwiazd
[lazurze,
lecz w trotuarze szarym, jak jego życie.
O świcie
znów się zaczynała dnia wyczekującego za oknem
[matnia.

Mały Krzysztof wieczorem przynosił ojcu wielki
[geograficzny atlas.
Patrzał, gdzie cielsko Afryki grążyło się w mórz błękit
i mówił i szeptał do ojca:
— ...gdy już nie będę maleńki
wsiądę na wielki okręt taki, co ma miljon masztów
taki, co ma cztery miljardy żagli i wielkie, wielkie
[kominy
będę patrzał z pokładu na kolorowe miasta,
będę Morzem Czerwonem niebieskiem fioletowem
[płynął...
Powiedz mi, przecież jesteś taki duży
o swoich wielkich podróżach...—

Jego ojciec nie był podróżnikiem. Pracował w smutnem
[biurze.

I mówił, wzrok utkwiwszy w białym talerzu pustym,
jak jechał Morzem Czerwonem niebieskiem na pościg
wielorybów, o wielbłądach brnących żółtemi piaskami
[pustyń...
I wykwitała mu w głębi miast dnia wyczekującego
[za oknem matni
promienna afryka przyszłości.
I patrzał okrągłemi wyblakłemi oczami w geograficzny
w Afrykę błękitem oblaną. [atlas
A rano
gdy Krzysztof śnił o morzach i o górach
gdy płynął ogromnym okrętem przez Morze Czerwone,
ojciec szedł temi samemi ulicami do smutnego biura
i popłynął...
...zgiełkiem arytmografów zatopiony w terkot
[remingtonów.

Afryce.

Bajka smutna.

Dzikiej dziewczynce wiatr ciemne loki po czole rozsypał.
Hanko! — wołała matka w sień czarną, posępną
[i chmurną.
Pelagja, spęczniała kucharka mówiła:
— . . . to przecie lucyper . . .
To było codziennie w obiad na małej ulicy Okólnik.

Matka mówiła, że Hanka jest dzika, że jest nerwowa,
ojciec był wielkim doktorem, nosił w kieszeni stetoskop,
mówił niewiele, lecz mądrze, lśnił elipsami binokli.
A Hanka była dzika. Siedziała przy stole bez słowa
i wtem krzyczała tak dziwnie, w jej żółtych oczach
[lśnił fosfór.
Wtedy jej ojciec, pan doktór, spoglądał strasznie
[okropnie.
Dziadzio się patrzał mętnawo i groził zeschłym
[paluszkiem.

Wtedy Hanka płakała w pokoju, oczy wtuliwszy
[w kolorowe poduszki.
Gdy nikogo w domu nie było, chodziła po stołach,
[po szafach,
rozwalała ostremi rękami słupy bronzowych walizek,
dywan pod jej stopami szeleścił ostrą trawą,
tarzała się po nim radośnie i palce swoje gryzła.
Wtem zdało jej się, że jest małpą. Krzyk papug
przenikał jej dzikie serduszko, jak prąd.
Nocą to nie bambosze dziadzia, to hipopotam tak człapał,
nie koty na podwórzach, lecz pawiany okrążyły dom.
Potem była panią lasów. Pstra Afryka
była jej królestwem.
Wielki dziki koń w czarne centki pod nią pomykał
w afrykański przestwór.
Zdawało jej się, że jest lwicą i chodzi po dżungli . . .

Pod jej ciałkiem bronzowem dygotał materac.
Rozsypane wśród pagórków poduszek jej ciemne pukle
pieścił złotemi paluszkami księżyc, co właśnie przybierał.

Ranem ziewał w ciszę ulicy Okólnik pierwszy automobil.
Pan doktór, matka i Hanka siedzieli nad kręgiem stołu.
Spęczniała Pelagja biadała:
— . . . co ten lucyper narobił
wszystko poprzewracała . . . —
W binoklach ojca migał straszny połysk.

Po śniadaniu matka biła Hankę kościstą ręką.
Hanka płacząc stanęła przed lustrem, w płaskiej tafli jej
[ponury ból nikł.

I zdawało jej się, że jest maleńką,
pokrzywdzoną dziewczynką wśród małej ulicy Okólnik.

Jerzy Weintraub.

JAN TRYBOWSKI.

Symfonja jesieni.

Dzień za dniem wsiąkają w ciągły różaniec czasu.
Codzień jaskrawy rozświt i nocy aksamit.
Dziś — — chmury szeleszczące nad balkonem lasu,
na wietrze wiosłujące białemi wiosłami.

Szkło nieba wstęgą rozcięły ptaki bezdomne
ostrzem konieczności. W dół spływa zgrzyt przycichły
W niebie wiszące skowronki dzwonią podzwonne.
Wznoszą modły wierzby: zakapturzone mnichy.

Spadający liść szemrze pieśń drżącą i skrytą.
Zapełnia skargą spiż i mosiądz krajobrazu
Wiatr rozkrzykiem rozebrzmiał: srebrzysty baryton
i o kostki chat uderzył; wiatr, ów mistrz jazzu.

W niebo iść i śpiewać — jedwabną srebra ścieżką
zawisłą na dojrzałej woni pogorzelisk
i wraz, z obłokiem, z błyskiem, co ze stropu ścieka
świat przekreślić — jak księżyca blady obelisk.

Nie trzeba w ciszy stać, jak drzewa smutni.
Gromem słów rozorać płachtę nieba pochmurną
gdy — — —
— tęsknota gra na płotów wygiętej lutni
i dmie w wierzbne piszczałki dalekie nokturno — —

Jan Trybowski.

LESZEK ŚWIERZ

J. Birlusowi

* * *

Smutek nam przypomina te minione chwile,
smutek wieczornych, cichych naszych rozmów.
. . . Słuchaj, dwa lata temu byłem jeszcze dzieckiem
i jak ty . . . cieszyłem się życiem i wiosną . . .
Dzisiaj wszystko minęło, dzisiaj nawet nie wiem,
jak mówić o życiu — — —
A przecież — zmęczone przestrzenią powieki
dobrze by było przymknąć
i — — — utonąć w przeszłości . . .
— — — — — — —
. . . Taki sam był wtenczas dzień jesienny
i grający po drzewach wiatr.
Cisza się kołysała (— brylantowa królewna —)
w krajobrazie dalekim.
I była świętość spokojna, rzewna — — —
. . . Takisam byłem wtenczas ja
i taki . . . jak dzisiaj . . . dzień był senny . . .

Leszek Świerz.

„GERBER CONTRA KUPFER".

Był uczeń, który sądził, że szkoła jest to instytucja państwowa, służąca do nabycia pewnego kwantum wiadomości. Że profesor to urzędnik państwowy, który ma to ułatwić. Że ze względów ekonomji pracy uczeń powinien być profesorowi w pewnym zakresie posłusznym.

I był profesor, który miał aspiracje despotyczne. W życiu nie miał ich gdzie wyładować, więc przeniósł je do szkoły. Możność stania się na kilka godzin bezwzględnym władcą kilkudziesięciu osób była treścią jego życia.

Zetknęli się. Profesor ściągnął ucznia do swego punktu widzenia. Uczeń uznał, że, stąd widziane, życie niema sensu. Przed ogłoszeniem wyników matury, popełnił samobójstwo. N. b. maturę zdał. Uczeń nazywał się Kurt Gerber, profesor: Kupfer z przezwiskiem „Bóg".

Autor *) przedstawia te wypadki, jako typowe. Ich typowość właśnie skłoniła go do napisania książki **). Stawia tezę, że, jeżeli zetknie się ten typ ucznia i ten typ profesora, to wynik musi być taki. (Naturalnie są i inne typy profesorów i inne typy uczniów, ale o to tu nie chodzi). W swym przykładzie daje zresztą cechy typowe i wynik w najostrzejszej postaci; w życiu przeważnie wszystko to jest łagodniejsze i mniej wyraźne.

O ile jednak w Kupferze poza wyjaskrawionemi cechami typowemi niema nic więcej, o tyle Kurt jest człowiekiem żywym i skomplikowanym. Musimy więc oddzielić cechy Kurta jako reprezentanta typu od jego cech indywidualnych. To nam pozwoli ocenić, czy wynik jest typowy i konieczny. (Naturalnie nie samobójstwo, lecz wcielenie ucznia do profesorskiego schematu). Zaznaczamy przytem, że autor uważa go za typowy (dowodem: uwaga, że Kupfer łamał wszystkich i nagła, a niespodziewana śmierć Bendy).

Typowa więc jest inteligencja Kurta, jako jej wynik, jego poglądy na szkołę, jako ich wynik jego zła opinja u profesorów. Również za cechę typową, choć w przejaskrawionej formie, można uznać chorobę jego ojca. (Częste są wypadki, że obawą, by złe stopnie nie pogorszyły zdrowia rodziców zmusza się ucznia do posłuszeństwa. Mamy na to również przykłady w literaturze; w polskiej wskutek specjalnych warunków, dotychczas przeważnie w zastosowaniu do szkół zaborców, ale już u Zegadłowicza wysyłka zeszytów polskich do pani Zofji pozbawiona jest akcentów patrjotycznych ze strony autora. Chorobę zresztą można zastąpić przez ubóstwo, lub coś podobnego. Napewno każdy zna z doświadczenia takie wypadki. Nie mamy natomiast powodów do uznania za typową nerwowości i skłonności do załamań Kurta. Przecież Benda należy do tego samego typu, a jednak jest spokojny i konsekwentny. Również nie uznamy za typowy jego braku zdolności do przedmiotu Kupfera; inteligencja pociąga za sobą przeważnie właśnie wszechstronne uzdolnienia. — A wszak obok choroby ojca były to dwie główne przyczyny klęski Kurta.

Klęska ta więc, to wynik jego indywidualnych braków, a nie konieczny wynik starcia się dwóch typów, scharakteryzowanych w dwóch pierwszych odstępach artykułu.

Bo, gdyby Kurt postępował konsekwentnie według swoich przekonań, to przedewszystkiem zmieniłby szkołę. Jego pierwsze i decydujące załamanie się, to, wbrew pozorom, — decyzja pozostania w XVI. gimnazjum.

. Mianowicie, gdy ojciec Kurta dowiaduje się, że Kupfer ma zostać gospodarzem jego klasy, chce go przenieść do innego zakładu. Kurt opiera się temu. Dlaczego? „Bo on nie chce Kupferowi ustąpić, on chce z nim walczyć".

Ale przecież tezą Kurta było, że szkoła jest to instytucja, służąca do nauki, a właśnie tezą Kupfera, że jest to teren, na którym władcy - profesorowie walczą i ujarzmiają buntowników - uczniów. Gdy Kurt stanął z Kupferem do walki, już opuścił swą tezę.

Ale i teraz nie musiał przyjmować tezy Kupfera: mógł zostać nie uczniem - buntownikiem, lecz uczniem - celerem, (jak Benda), nie zmieniając swych poglądów na szkołę. Tu przeszkodził mu brak zdolności do matematyki (częściowo), a przedewszystkiem brak konsekwencji. Zaczyna sobie robić wyrzuty, że stając się dobrym uczniem, opuszcza dawnych towarzyszów niedoli. Zachwianą decyzję wybicia się ostatecznie, wykańcza Kupfer, dając mu niesprawiedliwie dwóję.

Kurt załamuje się drugi raz. Traci już całkiem pewność słuszności swej sprawy. Gdy mu Lewy mówi, że postępuje jak „porządny chłop", przyznaje mu racje i kolekcjonuje dwóje; gdy mu Schöntal daje do zrozumienia, że postępuje głupio, uczy się gwałtownie na pauzach. Próbując odnaleźć szacunek do siebie na szczątkach dawnych przekonań, organizuje strajk klasy, naturalnie bez powodzenia.

Teraz już całkiem wchodzi w kupferowy schemat, jako uczeń buntownik i to łatwy do poskromienia. Gorzej — zaczyna wierzyć, że ten schemat jest ogólnym schematem stosunków szkolnych. A gdy to przyjmuje za pewnik, konsekwentnie spala wymaginowanego abiturjenta „Życie".

jurk.

---

*) F. Thorberg: Der Schüler Gerber hat absolwiert. Polskie tłómaczenie dr. Sandbauerowej p. t.: Kurt Gerber zdał maturę.

**) Str. 322. „Muszę się irytować, skoro wy tego nie czynicie. Że dla was to dzieciństwo. Przechodziliście to wszyscy, tak. Patrzyliście się, jak się was morduje. A teraz zapomnieliście i... śmiejecie się. Czy wiecie, że ten uśmiech, to uśmiech najpotworniejszy, najohydniejszy, najbardziej podły, jaki istnieje?... I dziwi was, jak ktoś krzyczy. Panie Boże, to nie ja krzyczę! To ze mnie dobywają się krzyki tysiąca umęczonych!"

„Świat mówił".

Już tak utarło się jakoś, że radjo to owszem, wynalazek dobry, ciekawy, do codziennego poniekąd użytku — jak wodociąg. Stoi sobie głośnik w pokoju, gada, śpiewa, gra. Niech sobie gra — nieszkodzi. Jakieś tam płyty. Tak właśnie traktuje się radjo, jak codzienną gazetę. Przeczyta się, ale nic wielkiego. Działanie jedynie powierzchowne.

Nie zakorzenił się też dotąd zwyczaj zajmowania się audycjami radjowemi tak, jak innemi objawami kultury umysłowej. Jeżeli już mówi się o tem, że tylko tak, jak o pękniętej rurze wodociągowej, czy niedokładnościach w rozkładzie jazdy. W każdym dzienniku jest szpalta, przeznaczona na wymyślania czytelników pod adresem Polskiego Radja. Z pism literackich bodaj że tylko „Pion" traktuje radjo poważniej i poświęca mu osobną kolumnę. Jest to zupełnie uzasadnione, bo, oprócz tych „rzeczy do codziennego użytku", trafia się czasem — rzadko coprawda — audycja, będąca poważniejszem osiągnięciem kulturalnem, artystycznem.

Mieliśmy taką niedawno. Audycja, poświęcona pieśniom ludowym 31 państw całego świata w wykonaniu dzieci. Miała tylko jedną ujemną stronę: trwała trochę długo, dwie godziny. Ale pozatem była doskonała. Pieśni było dużo. Żadna nie mogła utrwalić się w pamięci. Ale zato działały zbiorowo. Szły, jak jakaś nowa krucjata międzynarodowa dzieci. Te dwa fakty: że impreza miała charakter międzynarodowy i że brały w niej udział dzieci — nasuwały myśl, że jeśli można organizować rzeczy małe, to chyba i w wielkich dojdzie się do porozumienia.

Naturalnie kontrastowało to z sytuacją. Tysiące młodych ludzi, gnanych rozkazem dyktatora włoskiego po piaskach pustyń afrykańskich, zaborcze wojny Japonji, imperjalizm Anglji, wzajemne szczucie „bratnich" narodów Europy środkowej, nieprzebrzmiałe echa wojny w Połudn. Ameryce, stuk żołnierskich butów w imię rasowej wyższości — to wszystko nie było dobrem tłem dla pacyfistycznej manifestacji.

I dlatego największe wrażenie zrobiła audycja z Rzymu. Poszła przez eter wspaniała pieśń, pieśń silna i pewna siebie. Pieśń władcza, imperjalistyczna. Ale to nie był imperjalizm wojenny. Był to silny hymn pokoju, władczej kultury i pewnego zwycięstwa idei mądrej i jedynej. I napewno nie tej, która dręczy w imię fikcji tysiące żołnierzy skwarem afrykańskim i zabija ich małe, pojedyncze szczęście jednostek na ołtarzu szczęścia zbiorowego, którego nie będzie.

Stefan Kuhl.

Prelegent pije wodę.

Pierwszy odczyt. Lech Piwowar mówi o obliczu ideowym Skamandra („**Pogrzeb pierwszej klasy**“). Nawiązując do karawaniarskich informacyj — omawiał Piwowar „wynajęcie“ przez Skamander poetów lewicy społecznej — do swego pogrzebu. „Skamander“, powstając jako oddźwięk Młodej Polski, poszedł linją najmniejszego oporu. Z niczem nie walczył... i o nic nie walczył. Miał ambicję być literaturą oficjalną i do tego celu szedł wszelkiemi drogami. — „Skamandrytów“ cechował oportunizm ideowy i łatwizna ideowa. Obecny „Skamander“ musiał wynająć sobie Łobodowskiego, Miłosza Putkamera i innych by nadać sobie charakter poczytności. Filja „Wiadomości literackich“ prosperuje. Ale czuć ją śmiercią i... stęchlizną. Nie jest prawdą zdanie Wierzyńskiego, że skamandryci stoją u szczytu swoich możliwości... Ambicja jednostek nie zdołała uratować pisma. Wywiady z leaderami „wiadomościowo - skamandrowymi“, fotosy poetów — a brak recenzyj z książek poetyckich, brak krytyk, brak tego, co jest istotą pisma poetyckiego.

Gdy Piwowar mówi o Słonimskim (Słonimski z ministrem, Słonimski z Sapiehą, Słonimski z Prymasem)... wyciąga chusteczkę, by otrzeć czoło. Chusteczka jest w kamizelce. Piwowar muska wąsiki... no, ale to nie należy do rzeczy. Prelegent pije wodę. Koniec.

ODCZYT DRUGI.

„PRZYSZŁOŚĆ AWANGARDY“ (prelegent pije wodę na początku odczytu, bezpośrednio po wdrapaniu się na podjum, a przed okrzykiem z audytorjum... „uważaj, Mickiewicz patrzy“). Streszczam:

Skamander spotkał się z opozycją. Ze strony lewej i prawej. Odruchem, któryby go zmiażdżył był futuryzm. Ale „Skamander“ wchłania go w siebie, unieszkodliwia. Czasy „Zwrotnicy“ i „Linji“. Powstaje awangarda. Słowo prawie, że — niezrozumiałe. Używane dzisiaj powszechnie. Czołowymi przedstawicielami awangardy byli Peiper, Przyboś, Kurek i Brzekowski.

Teoretyk tego ruchu nowatorskiego Peiper określa dokładnie ten ruch i jego poetykę (Zwrotnica. Nowe Usta). Miasto, masa, maszyna — to tematy awangardy. Młodzi poeci burzą zasady poetyckie, odwracają się od przeszłości. Nowe formy wiersza i nowe formy wypowiedzeń.

Awangarda do wierszy wprowadza metaforę, czyli takie uszeregowanie wyrazów, które w życiu codziennem nie mają odpowiednika, a wyrażają jakieś stany duchowe, uczuciowe. Jak poezja romantyczna, była poezją ogółu, to awangarda miała być poezją „dwunastu“. Jednak z biegiem czasu liczba „dwunastek“ zwiększa się. Jaka jest przyszłość awangardy?

Awangarda — czyli straż przednia. Według sądu Lecha Piwowara tem — przed czem idzie poezja awangardowa - to ruch marksistowski.

Oba odczyty — wypracowane ze stanowiska socjalistycznego, dlatego też straciły na swej literackiej wartości. Teza świadomego wprowadzenia do poezji tendencji — której słuszność i konieczność uzasadnił prelegent — nie jest słuszna. Awangarda, której teraz przechodzimy renesans, to nie czołówka marksistowska („jest kilka awangard — rozmowa z Czuchnowskim w „Tygodniku Artystów“!!) — to system poetycki, którym posługują się nietylko poeci proletarjaccy. Awangarda obecna musi wyjść poza ramy elity kulturalnej.

Wiem, że to nie stanie się w najbliższym czasie. „Futurus“ Władymir Majakowski pisze:

„Sztuka dla niewielu, książka dla niewielu jest potrzebna. Tak czy nie? I tak i nie. Jeśli książka jest obliczona na niewielu z tem, aby być przedmiotem użytku wyłącznie tych niewielu, i poza granicami tego użytku żadnych funkcyj nie spełnia — istotnie jest niepotrzebna. Jeśli książka została zaadresowana do niewielu tak, jak energję Wołchowstroju zaadresowano do kilku transmitujących podelektrowni z tem, aby te ostatnie dostarczyły otrzymaną i przerobioną energję tysiącom żarówek — taka książka jest potrzebna. Książki te mają niewielu adresatów, ale adresatami są w tym wypadku nie odbiorcy, lecz wytwórcy...“ Radziecka, proletarjacka, prawdziwa sztuka powinna być zrozumiała dla szerokich mas. Tak czy nie? I tak i nie. Tak, ale z korektą, obliczoną na przyszłość i propagandę. Sztuka masowa dostępna tłumom, odrazu się nie tworzy, jej umasowienie osiąga się w wyniku całej sumy wysiłków: krytycznej analizy w celu ustalenia i istnienia pożytku, organizacji przez partję dla udostępnienia jej masom w razie stwierdzenia tego pożytku, wyboru odpowiedniej chwili i wreszcie równowagi między problematyką książki, a dojrzałością odpowiednich zagadnień wśród mas. Czem lepsza książka, tem więcej wyprzedza wypadki. Masowość to suma i wynik naszej walki, a nie koszula, w której przychodzą na świat szczęśliwe książki jakiegoś literackiego genjusza. Zrozumialstwo książki trzeba umieć zorganizować“.

Awangarda poetycka wyprzedza życie, idzie przed nim. Siedzenie na laurach do niczego nie doprowadzi. Trzeba poezji dać płynąć w młodzież i lud. Zamało wiedzą o niej, zamało czują ją i rozumieją ci, którzy najwięcej ją krytykują.

T. H.

JERZY POREMBSKI.

Moskiewki teatr Mayerholda.

Dużo się dzisiaj w świecie, poza granicami Rosji mówi i pisze o teatrze sowieckim. Powstają nowe książki, w których liczni autorzy, różnych narodowości i zapatrywań politycznych, starają się mniej lub więcej udatnie przedstawić teatr w Rosji. Charakteryzuje to ogromne światowe stanowisko teatru sowieckiego. Rosja jest dzisiaj bezsprzecznie siedzibą najlepszych teatrów świata, Moskwa zaś siedzibą najlepszych teatrów rosyjskich. W życiu społeczeństwa sowieckiego teatr odgrywa pierwszorzędną rolę przewodnika i nauczyciela. Jeżeli chcemy na teatr rosyjski patrzeć jako na całość organiczną, musimy mieć na myśli wszystkie jego gałęzie. Obok ogromnych, po większych miastach założonych kolektywów teatralnych, to jest kilkuset wraz z filjami po małych miastach teatrów, są teatry (przeszło sto) narodowościowe, grające w języku nie-rosyjskim i wreszcie ogromna ilość rozrzuconych po całem imperjum kół artystycznych oraz teatrów „samorodnych“, czyli amatorskich, chłopsko-robotniczych i żołnierskich. Z barwnego kalejdoskopu stylów i charakterów teatrów moskiewskich wysuwają się na czoło 3 zasadnicze typy: Teatr Mały, Teatr Stanisławskiego i wreszcie Teatry Mayerholda, Wachtangowa, Tairowa i inne. Teatr Mały, to teatr aktorów wirtuozów. Teatr Stanisławskiego jest teatrem zespołu, jego zasadą jest realizm artystyczny. Kierunek jego ma swoją analogję w twórczości literackiej Lwa Tołstoja, Dostojewskiego i in. Stanisławskij opracował specjalny system gry artystyczno-psychologicznej, o który walczył wraz z Niemirowicz-Danczenką — zawsze zwycięsko. Mayerhold zaczął jako reżyser pracować pod kierownictwem Stanisławskiego, wkrótce jednak zerwał z nim, rzucając nowe zasady, burzące cały system realizmu Stanisławskiego. Polegały one na zerwaniu z naturalizmem pudełkowej sceny i zastosowaniu kotar. W przededniu rewolucji wystawia Wsiewłod Mayerhold w carskich teatrach subtelne w swym wyrafinowanym artyźmie widowiska estetyczne. Rewolucja rzuca go w drugą ostateczność, zbliża się do Majakowskiego i innych przedstawicieli futuryzmu w literaturze. Mayerhold głosi zupełne wyrzeczenie się form teatru tradycyjnego i zamiany go na widowisko agitacyjne. W tym okresie mniejwięcej wstępuje do partji komunistycznej. Opracowuje on oryginalny system gry opartej na studjowaniu efektów gry mięśni. Ujemną cechą systemu Mayerholda jest to, że nieproporcjonalnie dużo uwagi poświęca technice ruchu kosztem techniki słowa. Na specyficzny charakter jego widowisk składa się zniesienie kurtyny, usunięcie malowideł i płaskich dekoracyj. W ich miejsce stosuje Mayerhold konstrukcje przestrzenną, architektoniczną. W okresie lat 1924 — 1930 ulega on znów estetyzmowi i daje szereg niezwykłych pod względem wspaniałości i blasku inscenizacyj sztuk scenicznych (najudatniejsze: „Krzyczcie Chiny!“ — Tretiakowa). W ostatnich latach stosuje Mayerhold w swej pracy inscenizacyjnej manjerę, którą możnaby nazwać realistyczną. Realizm ten jednak wyodrębnia się elegancją, dokładnością oraz brakiem wulgarnie ciężkiego naturalizmu. Do każdego widowiska w teatrze Mayerholda stwarza się specjalne tło muzyczne. I każdy spektakl jego jest nowatorski również w dziedzinie dekoracyjnej. Muzykę wprowadza on nietylko wtedy, kiedy tego wymaga treść sztuki, lecz często całkiem konwencjonalnie, podkreślając jej momenty wzruszeniowe.

Wpływ Mayerholda na teatr sowiecki jest kolosalny. Niezależnie od tego, że pod jego bokiem i kierownictwem wyrosła plejada wybitnych talentów reżyserskich i aktorskich podstawowe jego zasady tak, czy inaczej oddziałały na pracę innych teatrów.

Z nazwiskiem Mayerholda łączy się także powstanie Moskiewskiego Teatru Rewolucji — założonego w roku 1922 i kierowanego w pierwszych sezonach przez Mayerholda. Wpływ jego nie ogranicza się tylko do kierowanego przezeń teatru. Wypracowane przez niego zasady inscenizacyj — stosują różni reżyserzy scen moskiewskich, leningradzkich i prowincjonalnych. Nazwisko Mayerholda zdobyło sobie szeroką popularność w całym świecie. Historycy i krytycy teatru poświęcili mu wiele artykułów. Japońskie koła teatralne również przyswoiły sobie szereg manjer i idei Mayerholda. Twórczość jego jest jednym z najważniejszych rozdziałów w historji współczesnego teatru. Wielu ludzi mniema, że marxizm, jako doktryna natury polityczno-gospodarczej, związków żadnych ze sztuką ani wpływu na nią mieć nie może. Tych ludzi rozwój teatru sowieckiego, nowe drogi jakiemi się on posuwa, przekonać muszą, że marxizm jest systemem filozoficznym, obejmującym jednako wszystkie dziedziny życia.

Jerzy Porembski.

MUZYKA NA ULICY.

Temat komedyjki jest bardzo aktualny. Trzech młodych muzyków, Florek, Wicek i Teofil, zarabia na życie grą na podwórzach i ulicach. Jeden z nich znajduje étui z brylantami. Fakt posiadania takiego skarbu, a jednocześnie obawa przed sprawiedliwością, wytrąca ich z równowagi. Florek wyrusza w świat, pokłóciwszy się uprzednio ze swą narzeczoną, dwaj inni piją na umór, a narzeczona opuszcza swe pełne matczynej miłości stanowisko gospodyni naszej trójki, pozostawiając ją na pastwę nietyle losu, co braku umiejętności kulinarnych. Wkońcu jednak skarb otrzymuje policja, a wśród muzyków dochodzi do pojednania.

Na marginesie wypowiada autor cały szereg morałów, uwag o życiu i sztuce i porusza wiele zagadnień, których jednak rozwiązania nie szuka. Nie byłoby to oczywiście potrzebnem. Chodziło tu przecież głównie o rozweselenie widza, od którego nie żąda się głębszej uwagi i zastanowienia się. Hemar przerobił wiedeńską sztukę tak dalece, że jego należy uważać za właściwego autora. Dał on wiele kalamburów i niezłych dowcipów. Mimo to może zbyt dużo jest chwil o zabarwieniu przesadnie sentymentalnem i poprostu niemiłem.

Zaletą komedji jest to, że muzyka wypływa z akcji. W naturalnym biegu zdarzeń występuje ona najczęściej jako odpowiednik stanu duszy bohaterów.

Doskonale zagrał Teofila p. Schubert; p. Macherski ożywił egzaltowaną rolę Florka; w grze p. Kondrata, jako Wicka, zadużo było groteski. P. Suchecka, mimo szczerości nie była zbyt przekonywująca, choć miała niezłe momenty. W innych rolach wystąpili p. Niedziałkowska (dobra w swym typie), p. Syroczewski i p. Woźniak.

Jot.

STARE WINO SZUMI.

Rodzinę Popinot'ów reprezentuje pięć współcześnie żyjących pokoleń. Despotycznie rządząca babka, młodzieńczo wyglądający, 60-cio letni ojciec, dwaj synowie, jedna synowa, ich córki i wnuczka, będąca prawnuczką babki. Jak widzimy, już sama prezentacja wypada dosyć nieprawdopodobnie.

Synowie zamierzają oddać ojca pod kuratelę, zarzucając mu trwonienie majątku na hulankach w Rzymie. Ojciec, w obawie przed uskutecznieniem tego zamiaru, ucieka z powrotem do Rzymu, do swej żony, o której rodzina nic nie wie. Następuje pogoń i pełne humoru rozwiązanie.

Tezą sztuki jest myśl, że mężczyzna ma tyle lat, na ile wygląda, a raczej na ile się czuje. Teza śmiała i oryginalna. Powoduje ona szereg arcyzabawnych sytuacyj, których komizm spotęgowany

jest wyglądem przedstawicieli trzeciego pokolenia rodziny Popinot, opatrzonych olbrzymiemi brodami. Nie wydaje się jednak możliwem, by mogli być synami tak młodego fizycznie i moralnie, jak starszy pan Popinot, zwłaszcza gdy go gra Junosza-Stępowski. Gra jego zachwyciła wszystkich niezwykłą lekkością, swobodą i świetnem wyrysowaniem szczegółów. Dzielnie sekundowała mu p. Malusiakówna, która zaimponowała — (głównie w drugim akcie) doskonałem zrozumieniem wagi poszczególnych wyrazów...

Z pozostałej obsady wymienić należy pp. Macherskiego i Kułakowskiego, jako synów, p. Jaworską, jako córkę i p. Szuberta w roli służącego **Jot.**

Józef Hofmann.

Pisanie recenzji Józefa Hofmanna jest z trzech powodów rzeczą trudną i odpowiedzialną: 1) Najpoważniejsi krytycy uważają go „za najlepszego z nam znanych“, 2) wypisując o nim ogólnikowe entuzjazmy, 3) co jest wynikiem problemu gry, który jest trudny i u nas rzadko spotykany. (Podobnie gra może tylko młody pianista amerykański Webster). Jesteśmy więc na terenie „dziewiczym“, to też wszystko co zostanie powiedziane o tym bezwarunkowo wielkim pianiście, nie będzie rzeczą pewną i należy traktować to z wieloma zastrzeżeniami.

Niech punktem wyjścia będzie fakt, że Hofmann „nie robi wrażenia“ na wielu ludziach muzykalnych, dla których muzyka nie jest bezwarunkowo czemś obcem. Jest to najprawdopodobniej wynikiem trzech czynników, w które postaram się ująć problem gry tego pianisty: 1) Hofmann jest, w przeciwieństwie do najczęściej u nas spotykanych pianistów nastrojowców, liryków, typem, któryby można nazwać objektywno-konstruktywnym; 2) co łączy się z rzucającym w oczy brakiem stanowczej indywidualności. (a której wymieniona objektywność jest może skutkiem). 3) To też Hofmann robi wrażenie tylko na tych, którzy wykonywany utwór pojmują doskonale i ogarniają c a ł o ś ć wspaniałej konstrukcji, którą pianista stworzył, — a wżywają się równocześnie w świetnie i krańcowo wycyzelowane s z c z e g ó ł y.

Gra Hofmanna nie narzuca się, nie sugeruje. Jest, jak powiedziałem, objektywną. Ale ta rzeczowość przechodzi miejscami w manierę; zwłaszcza wtedy, gdy Hofmann celowo (nie wolno nam przypuszczać inaczej), nie wydobywa pewnych wartości, które kompozytor napewno dać chciał. Miało to miejsce przy rapsodji Liszta, wykonanej jako naddatek.

Sposób, w który Hofmann rozumie muzykę jest, powiedzmy, bardziej „czysty“ i pozbawiony pozamuzycznych elementów, a zbliżony do abstrakcji. To też do takiego ujęcia należy się przyzwyczaić i wdrążyć w nie.

Na zakończenie zaznaczę, że nie mam zamiaru wypisywać pochwał o technice pianisty i t. d., bo są to rzeczy znane i okrzyczane. Mimo więc pewnych zastrzeżeń można śmiało powiedzieć, że Hofmann jest pianistą wielkim.

Leo Lipschütz.

Kolegów

którzy chcieliby współpracować z Redakcją zwłaszcza w działach życia kulturalnego nie rozwiniętych, ich zdaniem, dostatecznie na łamach tego numeru prosimy o zgłaszanie się listowne lub osobiste

W NASTĘPNYM NUMERZE KOLUMNA KARYKATUR

należy je nadsyłać narysowane na gładkim rysunkowym papierze. Osoby skarykaturowane winny być znane oprócz swej najbliższej rodziny i rysownika, także innnym czytelnikom

JEST W ADMINISTRACJI

do objęcia stanowisko, wymagające energji i przedsiębiorczości, a przynoszące pewien dochód. Zgłaszać należy się osobiście.

Wiadomości ze świata i ciekawostki.

Z wiadomości zagranicznych najwięcej miejsca w dziennikach zajmują telegramy i artykuły o wojnie włosko-abisyńskiej i sankcjach. W Genewie uchwalono t. zw. sankcje gospodarcze, które między innemi krajami, obowiązują także Polskę. Wyszło już nawet specjalne rozporządzenie Ministerstwa Przemysłu i Handlu, które szczegółowo omawia sprawę stosunków handlowych z Włochami w czasie trwania sankcyj. Sankcje gospodarcze obejmują między innemi postanowieniami, także zakaz wywozu broni do Włoch. Pierwszem państwem, które wprowadziło sankcje w życie, jeszcze przed ich uchwaleniem były Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, wydając polecenie omijania portów włoskich swoim okrętom. Jest to tem godniejsze podkreślenia, że uchwały genewskie nie są dla Stanów Zjednoczonych obowiązujące, gdyż do Ligi Narodów nie należą. Jak zwykle, tak i tym razem najważniejsze konferencje toczą się poza Ligą pomiędzy delegatami Francji, Anglji i Włoch. Z wielkiego wysiłku Ligi dla uratowania pokoju nic sobie nie robi Japonja. W ostatnich dniach Japończycy mieli postawić rządowi chińskiemu cały szereg żądań i można powiedzieć, że dosyć niepokojących. Między innemi krążą pogłoski, że Japończycy zamierzają utworzyć w Chinach nowe państwo (już 2-gie, licząc Mandżukuo), którego granice sięgałyby w pobliże Pekinu. W Chinach można obecnie zauważyć wchodzące w życie europejskie metody. Przed kilku dniami mianowicie zakończył obrady chiński parlament t. zw. Kuomi-tang. Po zakończeniu obrad dokonano zbiorowego zdjęcia, podczas którego jeden z obecnych, jak się okazało potem z zawodu dziennikarz, wyjął szybkim ruchem rewolwer i oddał kilka strzałów w kierunku biorącego udział w zdjęciu premjera Chin, Wanczingwai. Premjer został ciężko ranny, a nadto zostało lżej zranionych kilku jego współpracowników. Jest to już czwarty udały rewolwerowy zamach w tym roku (po trzech europejskich), mający podłoże polityczne. Bez względu jednak na tego rodzaju występki zbrodniczych jednostek, życie idzie naprzód. W tych dniach attache Stanów Zjednoczonych w Paryżu udzielił wywiadu na temat nowo mającej powstać linji lotniczej Ameryka Północna-Europa. Jak dotąd, istnieje jedno tylko połączenie powietrzne pasażerskie, przez Atlantyk: Europa-Ameryka Poł., obsługiwane przez niemieckie zeppeliny. Niedawno obchodzono na tej linji jubileuszowy, setny przelot. Warunki połączenia lotniczego Europa-Ameryka Północna zostały dokładnie zbadane. Przypuszczalnie już w najbliższym czasie jedno z amerykańskich towarzystw lotniczych przystąpi do realizacji tej linji. Coraz częściej też słyszy się ostatnio, że Amerykanie opracowują plan utworzenia gigantycznej linji lotniczej Stany Zjednoczone — Filipiny przez Ocean Spokojny. Podobno zbadano już nawet wszystkie możliwości budowy lotnisk, znajdujących się po drodze na wyspach. Linja ta byłaby pasażerską i na urzeczywistnienie jej rząd Stanów Zjednoczonych ofiarowałby duże sumy, jako subwencje. Trzeba bowiem pamiętać, że linja ta miałaby wielkie znaczenie strategiczne, gdyż prowadziłaby wprost na tyły Japonji. Dlatego też Japonja gwałtownie protestuje przeciw temu projektowi. Stany Zjednoczone jednak przypuszczalnie tem zbyt się nie przejmowały, skoro ostatnio nie przejmują się nawet kryzysem, a prezydent Roosewelt miał oświadczyć w jednem ze swoich ostatnich przemówień, że już w najbliższym czasie nastąpi podwyżka pensji urzędniczych i znaczne zwiększenie produkcji w Stanach Zjednoczonych. Niektóre amerykańskie pomysły wprowadza się ostatnio także w Europie. Wprawdzie nie przyjął się jeszcze przepis, że przejechany ze swojej winy przez samochód płaci dolara grzywny, ale w Londynie wprowadzono także dosyć niezwykłą grzywnę na automobilistów. Mianowicie kierowcy, którzy jadą zbyt wolno i tamują przez to ruch, są karani. Pozatem władze doszły do przekonania, że, jeżeli samochody jeżdżą prędzej, wypadków przejechania jest znacznie mniej. Nie jest to tak paradoksalne, jak się w pierwszej chwili zdaje: idąc ulicą, każdy zwraca więcej uwagi na auta pędzące, niż na jadące powoli. Sezon jesienny dobiegł końca. W dziedzinie armji, którą to dziedziną, rozbrajająca się Europa, ogromnie interesuje, można podkreślić ukazanie się pierwszych sowieckich podporuczników. Jak zwykle, znowu stare formy wracają. W tych dniach rozwiązano Stahlhelm, motywując to utworzeniem stałej armji niemieckiej. Sezon zakończyły wreszcie manewry jesienne w Hiszpanji. Najciekawszem zagadnieniem dni najbliższych będzie dalej sprawa włosko-abisyńska, ponieważ 18-go listopada sankcje staną się obowiązujące.

Józef Szczęsny.

NA BALEARY, LUDU ROBOCZY! Olanson, nikomu prawie nie znany mieszkaniec małego miasteczka szwedzkiego, wynalazł aparat do wydobywania tlenu z tlenku złota i srebra, pokrywającego stare przedmioty z tych metali. W Anglji powstało towarzystwo do eksploatacji tego wynalazku, opartego na zasadzie hygroskopji i stereoskopji. Wyprodukowany tlen eksportowany będzie na wyspy Balearskie.

TRUMNA i ROWER. Miasto Houlton w stanie N. Jersey (USA) znane jest z dziwactwa swoich obywateli. Prawdopodobnie jednak rekord chorobliwej pomysłowości pobił profesor tamtejszego liceum — niejaki p. Smillington — który kazał pochować swego zmarłego bratanka Harolda w trumnie, sporządzonej ze szprych od rowerów dziecinnych. Dziwni doprawdy są ludzie. Prof. Smillington został uwięziony i oczekuje na rozprawę sądową. A trzeba wiedzieć, że w tym stanie kary za kanibalizm są bardzo surowe.

NATURA JEST NIEOGRANICZONA. Niemieccy hodowcy drobiu wyhodowali rasę kur, które znoszą jaja, dwukrotnie przewyższające wagę samej kury. Ekspertyza chemiczna wykazała, że skorupki tych jaj zawierają sole ciężkich metali, szczególnie platyny i uranu.

MODNA ABISYNJA. Myślałby kto, że tylko Włosi mają kłopoty z obcym dla siebie klimatem, florą i fauną Abisynji. Niestety owady, które tak wrogo ustosunkowały się do faszyzmu, potrafią dokuczać także i swoim. Dlatego też Haile Selasie sprowadził z Niemiec 450 tonn proszku na owady. Każdy wyruszający na front czarny żołnierz otrzymywał 1 kg tej nowej broni. Okazało się jednak, że preparat ten jest szkodliwym dla zwierząt pociągowych oraz drobiu. Negus jest w kłopocie. Coby na to powiedział Marks, gdyby żył?

PRAWDY W PIEŚNIACH LUDOWYCH. Duży błąd popełniłby ten, ktoby sądził, że skrzyżowanie wieloryba z sardynką, o czem wspomina piosenka ludowa, jest niemożliwem. W morskim instytucie biologicznym w Neapolu dokonano tego ciekawego eksperymentu. Nowy gatunek, który nazwano Esuries virbans, jest wielkości przeciętnego feniksa z popiołów i wcale nie odznacza się drapieżnością. Fakt ten jest nie na rękę rządowi włoskiemu, który zamierza wobec tego odsprzedać wyhodowane zwierzęta i patent Szwajcarji.

POŻAR. Republikańska prasa grecka doniosła o charakterystycznym dla pewnych warstw społecznych wypadku. Profesor jednego z francuskich uniwersytetów spalił na panewce swego ucznia podczas egzaminu. Uszczęśliwiony uczeń odnowił własnym kosztem całą panewkę i nosi się z zamiarem poślubienia jej. Są jednak trudności ze strony rasizmu, którego zwolenniczką jest panewka. Kiedyż wreszcie kultura zwycięży przesądy nacjonalistyczne.

ar.

Redaktor odpowiedzialny: Pustelnik Władysław, adres red. i adm. Karmelicka 33/3. Wydawca: Jurkiewicz Jerzy

Drukarnia „GŁOSU NARODU“ w Krakowie pod zarządem Romana Ferka.